



Przeklinanie luster

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w VIII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Przeklinanie luster

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w VIII Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Warszawa 2017

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

Gazeta Lekarska

Puls

Zdrowa Praga

Własnym Głosem

ISBN 978-83-942437-5-3

Korekta: Elżbieta Antuchow

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Relex s.c., ul. Borsucza 13, Warszawa, e-mail: relex1993@gmail.com

Zapoznając się z kolejnymi nadesłanymi na konkurs utworami, a w szczególności z prozą, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że snuje się przede mną ciąg dalszy opowieści Erica-Emmanuela Schmitta „Oskar i Pani Róża” z dorosłym już Oskarem.

Głównym przesłaniem tej przepięknej opowieści jest to, by nauczyć się godzić z chorobą i śmiercią. Nie walczyć z nią, ale i się nie poddawać, jak robił to Oskar, dziesięcioletni chłopiec.

A przecież choroba i śmierć pojawiają się bez żadnego ostrzeżenia, wzbudzając wiele skrajnych emocji, od niedowierzania, wściekłości, po strach. O takich właśnie emocjach piszą autorzy w nadesłanych i nagrodzonych utworach. Nie ma tu wydziwionych metafor, jest rzetelna, uczciwa relacja: *Moją karmą jest teraz kolejna kroplówka z lekiem... –...Mam taką bliznę sierpowatą na szyi /prawie jak twoja po usunięciu piersi.*

Ten prozatorsko-poetycki dialog, wobec dziejących się dramatów, szokuje tym, że jest niczym innym, jak tylko zwykłym pogodzeniem się z losem. A przecież jesteśmy tylko ludźmi i mamy prawo do *przeklinania luster*.

Majka Maria Żywicka-Luckner

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA JURY VIII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU POETYCKO-PROZATORSKIEGO dla lekarzy i lekarzy dentystów „PULS SŁOWA”

Jury w składzie: Aldona Borowicz, Alina Chraśl-Sura, Waldemar Hładki, Maria Żywicka-Luckner (sekretarz) pod przewodnictwem Marka Wawrzekiewicza, po zapoznaniu się z 102 utworami poetyckimi (5 autorów nie spełniało wymogów regulaminowych) i 20 prozatorskimi (1 autor nie spełniał wymogów regulaminowych), postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii poezja:

I nagroda – nie przyznano

II nagroda – **Zbigniew Łobodziński** z Grębunic – godło *Ronin*

III nagroda – nie przyznano

Wyróżnienia i wyróżnienia drukiem:

Marzena Nogieć z Głucholaz – godło *MagNall*

Bolesław Sawicki z Łowicza – godło *Klara*

Eugeniusz J. Kucharz z Katowic – godło *Uszatek*

Sławomir Szewczyk z Boguty-Pianki – godło *Głos*

Stefan Trzos z Łodzi – godło *Julenka1*

w kategorii proza:

I nagroda – **Stefan Trzos** z Łodzi – godło *Julenka2*

II nagroda – **Janusz Perzyński** z Lublina – godło *Perzon*

III nagroda – nie przyznano

Wyróżnienia i wyróżnienia drukiem:

Marzena Nogieć z Głucholaz – godło *MagNal2*

Anna Pituch-Noworolska z Krakowa – godło *Magnolia*

Jerzy Andrzejczak z Łodzi – godło *Oxford*

Jury składa podziękowanie Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZLO Warszawa Praga-Północ za umożliwienie organizacji konkursu.

POEZJA

II nagroda

Zbigniew Łobodziński – godło *Ronin*

Kobiety na wiosnę

kobiety na wiosnę
czują się zdecydowanie młodsze
stają się młodsze
topnieją
łagodnie pod licznymi gejzerami spojrzeń mężczyzn
rozsypują wokół uśmiechy
przebudzone – niosą w sercach
lekkie ładunki
nowalijek marzeń
i złudzeń pełne mają
głowy

kobiety na wiosnę
nabierają kolorów grą w kolory
na siebie
zwracać chcą uwagę
nabierają rumieńców piękna
pięknieją w oczach
w wiosennym ciepłym powietrzu
jak w inkubatorze
i z każdym promieniem
skwarzącego słońca
poubierane w zwiewne sukienki i krótkie spódniczki
same zwiewne jak nimfy
niby dobre anioły
nadziei krążą
ulicami

i często
wzbierają mlekiem nadziei
i oczekiwania
na wiosnę nie tylko na wiosnę
prezentując światu brzuchy swoje jak księżyc w pełni
bo z drobiną pełni szczęścia
w cudzie nowego
życia

kobiety na wiosnę
są wiosną
są życiem
są sobą

Róża indygo

nie przywiązujesz się do ludzi
chyba że szczególnie Ci na nich zależy
albo gdy są szczególnie dla Ciebie bliscy i ważni
zapewne jesteś przywiązana bardziej do
wanny z ciepłą wodą
do książek pod poduszką
i chaosu

tak Ci z tym dobrze
nie boisz się ludzi nie lubisz niektórych zwierząt
potrzebujesz jednak samotności bardziej niż kiedykolwiek
wypoczynku i głębokiego oddechu luzu
nie pragniesz wcale tysiąca gości
blichtru i przepychu
błota na dywanie
śmiechu martwego dowcipu

jesteś jak róża indygo pełna tajemnic
i ukrytych pragnień

dzień po dniu otwieram w Tobie
nowy płatek z jawy i snu

Niedokonani

weź głęboki wdech aby wystarczył
do następnego jutra kiedy wszystkie pustynie
przysypią się przez klepsydrę

będziemy jeszcze zasypiać rozmawiając
o krajach z tropików i marzyć o białych plażach
usypanych z naszych pragnień

lecz póki co

jak wyrzec się wiosny choćby na chwilę
gdy tańcem wiruje w wybuchu zieleni
jak zostać samemu w oczach w wielokropki
albo świeżo naklejonym znaczkiem na pocałunek
niedopieszczonym słowem i tymi ustami

zresztą

sama dobrze wiesz jak są wtedy stęsknione

Wyróżnienia

Marzena Nogieć

godło *MagNall*

Tęcza

dla G.

Mówisz:

Zwykle zjawisko atmosferyczne
(niedawno padał deszcz)

Odpowiadam:

Wielobarwny łuk rozpięty pomiędzy niebem a Nami
(narodził się ze srebrnych kropelek i jego gniewu)
...gdy patrzymy w tym samym kierunku...

A jednak jesteś w stanie (na pewno bywałeś)
dostrzec ją w moich oczach

Operowo (według mistrza Pucciniego)

Śmierć

pozwala zemścić się na niewiernym kochanku (Annie-Willidzie)
albo odejść z godnością, skoro jego uczucie wygasło, jeżeli było kiedykolwiek (Madame Butterfly)
zdarza się także zadana przez zazdrosną (o Edgara) rywalkę
albo przez wyczerpanie (Manon to ty...)
bywa, że jest nią nieuleczalna choroba (tak, mówię o tobie, Mimi z Cyganerii)
lub stanowi sposób na połączenie się z ukochanym (dla Florii Toscii)

Miłość jest kobietą kochającą do końca

Trwa gdy gasną światła i milkną brawa widzów –
stając się bohaterką ich snów...

Tylko Turandot pozostaje obojętna (do czasu...)

Bolesław Sawicki

godło *Klara*

Blizna

Mam taką bliznę od spojenia łonowego do pepka
jak krzyż z kilkoma poprzecznymi belkami
Są takie krzyże

Mam taką bliznę sierpowatą na szyi
prawie jak twoja po usunięciu piersi

Na sercu blizna
Niewidzialna
najbardziej bolesna

Mam bo

W niedzielę piątek

U ciebie niedziela dobry tygodnia początek
U mnie piątek
U ciebie Niedziela Palmowa na sumie płonie świeca
a u mnie piątek i trzecia
Ty wznosisz oczy za dymem kadzideł
a ja padnięty pod moim krzyżem
Twoja myśl jak palma kurpiowska wysoka
a ja widzę czarnego kruka

nie

nie ma trzęsienia ziemi i zaćmienia słońca
to tylko tygodnia początek
u ciebie niedziela to u mnie piątek

Eugeniusz J. Kucharz

godło *Uszatek*

Przeklinam lustro

Przeklinam lustro, bo w odbiciu twarzy,
Odczytuje zmarnowane chwile, dni minionych.
A mogło być inaczej,
Chociaż każdy tak powie o swoim losie.

Zmęczony, odlatuje rydwanem snu,
Nie dogoni mnie krzycząca sfera
Trosk dnia minionego z tabunem zobowiązań.
Jesteśmy jak stare żaglowce wracające do portu,
Niepewne czy nie czeka ich złomowisko.

Gdzieś za mną zostawiam,
Kobiety, którym z dawnej urody
Została jedynie czarna gorycz ducha –
Złe słowa, które codziennie słyszą w ulicy śpiewie

Odwracam twarz
Nie wierząc
W przesąd szkła tuczonego lustra.

Sławomir Szewczyk

godło *Głos*

Decyzje, wybory

noc
kocur o trudnej do określenia maści
w tej porze doby
kręci się ciasnymi ósemkami
dokoła zakłopotanych stóp
wytrzeszcza swe ogromne ślepia
a każde z nich większe
niż okazały księżyc w pełni
i niż w księżycu
więcej w nich srebrnego koloru...

ach
żeby tak niczym sławny Mistrz Twardowski
odśpiewać z wiarą kantyczki
licząc na litość Matki Boskiej
i uciec przed wszystkimi diabłami tego świata
na jeden ze srebrnych globów...
ale na który?
nawet moje marzenia
nie są wolne
od konieczności wyboru...

Stefan Trzos

godło *Julenka*

Józef skonał o północy
wpatrzony w rozkołysane wahadło
dwanaście uderzeń
po jednym na każdego apostoła
dwanaście kurantów
po jednym na kolejne miesiące

święty Hieronim wciąż składa palce
w obietnicy stukrotnego plonu
latem miały się rodzić kwiaty mandragory
miast pustych kłosów chronionych przez strachy

i cóż że nec Hercules
gdy przegrywa się trzynastą z prac

od rozpaczy dzieli mnie teraz
cisza matowych okien izolatki
od łez przyćmione światło
szpitalnego korytarza

PROZA

I nagroda

Stefan Trzos – godło *Julenka2*

Ś m i e r ć

„Bogowie wiedzą, że śmierć jest nieszczęściem,
inaczej chętnie umieraliby sami”
Safona

Gabinet lekarski. Poczekalnia ludzkich nieszczęść. Kameralna scena niezliczonej liczby dramatów.

Kolejni wezwani wchodzą do wnętrza kurczowo trzymając się tak często chwiejnej nadziei i drżąc przed okrutną prawdą. Pozostali bacznie wpatrują się w twarze wychodzących – ich uśmiech sprzyja złudzeniom, jest jak symbol grzesznika po sakramencie pokuty. Tu jest nią walka z chorobą. Złudzenia są jakże krótką chwilą, w której zaciera się granica między nieszczęściem i szczęściem. Potem już musisz mierzyć się tylko z realiami.

*

– To rak płuc – wypowiada beznamiętnie, niemal od niechcienia, bez żadnego wstępu, przygotowania mnie na tę wiadomość. Grzebie w papierach, przekłada wyniki, wskazuje palcem cień wyraźnie rysujący się na rentgenowskiej kliszy.

– Drobnokomórkowy. Trzeba na onkologię, tam dadzą chemię – dodaje wręczając mi skierowanie.

Głos więźnie mi w gardle. To chwila, która zdaje się trwać wieki. Chcę pytać, dopraszać się iskierki nadziei, ale głos więźnie mi w gardle, a język przywiera do podniebienia. Przez głowę przelatuje tysiące nieskładnych myśli.

– Ile mi pozostało? – pytam.

Trudno powiedzieć, może nawet i kilka lat, bliżej dowie się pan na onkologii – odpowiada z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Złudzenia to wszystko co jest mi teraz dane od losu. Pojmuję oto, że nadszedł moment, gdy szczęście i nieszczęście przestaną mieć ze sobą punkt styczny, a zegar nieubłaganie będzie odmierzał dni. Jak długo jeszcze? Miesiące skrócą się szybko do tygodni, godzin, sekund wreszcie.

Kłamią ci, którzy twierdzą, iż wolą znać prawdę. Wyświechtane slogany „muszę się przygotować, uporządkować własne sprawy, spisać testament” przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Myślisz tylko o sobie.

Kurczowo trzymasz się życia. Chcesz być, a nie godnie umrzeć. Chcesz trwać, a nie uparcie i dramatycznie żegnać się z otoczeniem. Póki możesz, starsz się cieszyć każdą mijającą sekundą. Zapamiętać ją i przypominać do znudzenia w każdą kolejną bezsensną noc pełną cielesnego i psychicznego bólu.

„Gdzie zawiniłem, gdzie popełniłem błąd?” – setki razy zadawane sobie pytanie. Mogłem nie palić papierosów, zdrowiej się odżywiać. Mogłem – tak oto docieram do pustki nieświadomości i próżnych gdybań. Wymierzam sobie dręczącą karę i zarazem pokutę. Zagłębiam się w „ja”, by podnieść poprzeczkę wymogom własnego sumienia. Tyle, że niczego to przecież nie zmieni.

*

„Czy ktoś mi teraz współczuje?” – ta nieznośna myśl prześladowuje mnie od dni kilku. Litość. Skryte zadowolenie z cierpienia innych. Uczucie ulgi, że to spotkało jego, a nie mnie. A jednocześnie wypieranie własnych lęków przed śmiercią. I udawane współczucie, bo tak wypada. A może litość oznacza jednak coś zupełnie innego – oddanie, prawdziwą chęć ulżenia komuś, spieszenia z pomocą? Jeszcze do niedawna tak właśnie sądziłem.

Czy to możliwe, by choroba aż tak zmieniła mój charakter? Czy powstały na nim nowe rysy? A może to tylko uwypuklenie od dawna już istniejących predyspozycji? Czekają na dogodny moment, by się ujawnić. Wykorzystały mą słabość, by zdołować mnie jeszcze bardziej. Zbliżający się nieuchronnie koniec zmusza mnie oto do uznania za rzeczywiste tego, czego nie uważało się kiedyś za możliwe.

*

Pierwszy dzień w szpitalu. Krótka rozmowa z lekarzem prowadzącym, szczegóły terapii, zapoznanie z możliwymi efektami ubocznymi i kolejny brak odpowiedzi na najważniejsze z pytań: jak długo?... Przez chwilę – już na korytarzu – rozmawia jeszcze z moją żoną, widzę, jak ta ociera łzy – to pewnie najdokładniejsza odpowiedź na moje nadzieje.

*

Dwadzieścia kropli na minutę wpływa do moich żył. Piecze w miejscu wkłucia. Pot na przemian z dygotaniem z zimna. Myśli skupione na pragnieniu wygrania wyścigu ze śmiercią. Przede mną kilkanaście takich przetoczeń. Kilkanaście kolejnych szans. Kilkanaście nerwowych oczekiwań i tyleż pytań: co dalej?

Tymczasem boli nieco mniej i łatwiej też jest oddychać...

*

Postanowiam pisać pamiętnik. Podobno nieszczęście przybliża do sztuki – ona to uzmysławia nam piękno świata. Zrodzona ludzkimi emocjami, jakże odległymi od udreki choroby. Nawet miłosne rozterki i porażki są w sztuce źródłem wzruszeń a utwory muzyczne zrodzone goryczą wyciskają łzy.

Dziś w nocy śniłem Requiem Mozarta. Zbudziłem się przy nutach Lacrimosy...

Pomyślałem, że nie zdążę już zagrać wszystkich barowych krzesel w zachodnim kwartale miasta gdzie grają jazz. Nie wysłucham już nigdy w zadumie „The moon represents my heart” – a tak kocham dźwięki saksofonu. Byłem tak smutny, że nawet księżyc w pełni skrył się za chmurami.

*

Rozłąka pozwala uzmysłwić sobie znaczenie innych. Rozłąka brutalna, nieunikniona, bez możliwości do przewidzenia przyszłości. Zbijająca z tropu i potęgująca cierpienie, ale wciąż jeszcze odwracalna. Ze zdumieniem odkrywam, iż namiętności stają się esencją życia, a dawny lekkoduch odnajduje stałość. Na jak długo?

Wracam teraz często myślami do czasów dzieciństwa. Widzę matkę pochyloną nad moim łóżeczkiem. Nikłym uśmiechem pokrywa smutek i lęk. Zmarszczki poorwały jej twarz. Patrząc na nią, jak lekko przygarbiona starością trzyma mnie za dłoń. Mała jak wtedy. Zmierzech ogarnia pokój zamieniając ją w cień, zacierając

nieruchomą sylwetkę. Zostań – proszę. Zresztą i tak niedługo znów się spotkamy – ta myśl niesie mi ukojenie. A ona na rozpalonym czole kładzie zimny kompres. Coś cieknie mi po policzkach.

Rankiem poduszka jest mokra od łez. Podchodzę do szpitalnego okna, opieram głowę o szybę. Muszę poradzić sobie z uciekającym czasem. Chcę go na nowo doświadczać, przezwyciężyć nieznośny ból więźnia czy może wygnańca, gdy pamięć traci swoje znaczenie mając jedynie smak żalu.

Postanawiam więcej czasu poświęcać zwykłym czynnościom. Wiele minut spędzam przed lustrem goląc zarost. Po trzeciej chemii nie muszę już myć włosów...

*

Dziś śnił mi się ojciec. Biegliśmy – jak wtedy – bulwarami nad Wisłą. Trzymał mnie mocno za dłoń, a ja nie nadążałem – przez moment miałem wrażenie, iż unoszę się nad chodnikiem – przez kilka sekund czułem się jak latawiec.

Teraz też jestem bliżej nieba...

*

W umieraniu jest cząstka abstrakcji i surrealizmu. Niekiedy abstrakcja zaczyna nas realnie zabijać. Gdy chory dostrzeże abstrakcję, lekarz widzi wyłącznie nieuchronną prawdę.

– Chemia nie niesie oczekiwanej poprawy – poranna, brutalna prawda. Tyle, że ja – wciąż zawieszony między niepokojem a ufnością – łapię się na myśli, że już nie sztuka, ale filozofia zaczyna nabierać nowych wartości. Niektórzy twierdzą, iż to naturalny, kolejny etap oporu umierającego. Czytam teraz „Historię filozofii” Kotarbińskiego. Wszystkie te dylematy odnośnie powstania świata, mirażu i rzeczywistości, wyobrażeń i faktów, wartości, dobra i zła rozstrzygnę sam już niedługo.

Czuję się jak zwierzę zamknięte w klatce. Moją karmą jest teraz kolejna kroplówka z lekiem. Ot i filozofia sięgnęła bruku. Krwioplucie nieustannie się nasila. Plaster z morfiną zmieniają co trzy dni...

*

Łapię się na myśli, iż bunt wobec nieszczęścia nieuchronnie pcha mnie ku religii. Mówią, że to ostatnie stadium walki z nieszczęściem. Mistycyzm pozwala oderwać się od cierpienia. A może szukać pogodzenia się z losem?

Śniłem szamana walącego w bębny, mamroczącego zaklęcia gdy wrzucał zioła w środek ogniska. Złożony na macie wdychałem łapczywie dym. Po rannym obchodzie zlecono mi tlen przez maskę – oddycham z coraz większym trudem...

*

A może to wszystko jest jedynie normalną koleją losu? Może wszystkiemu winna jest zwykła ludzka ciekawość, która popchnęła Ewę do skosztowania rajskiego jabłka?

A co jeśli nie chęć złamania zakazu sięgnięcia po owoc, ale dokuczliwy głód popchnął ją do czynu?

To jabłko kryło w sobie wiedzę medyczną. Mogło mnie uchronić przed śmiercią...

*

Myślę teraz często o reinkarnacji. O tym, że wkrótce znowu tu powrócę. Pokocham kogoś, kto nie będzie już musiał odwracać twarzy, bym nie widział czerwonych od płaczu oczu.

Nowa matka pochyli się nad moją kołyską, kładąc kompres na rozpalonym czole, a inny ojciec znów pozwoli mi oderwać się od ziemi na moment...

Złudzenia znów powracają.

A ja uśmiecham się do swoich myśli. Bo przecież może „non omnis moriar”?

Gdyby tylko bogowie o tym wiedzieli, może nie wahaliby się wtedy umierać?

II nagroda

Janusz Perzyński – godło *Perzon*

IRZYK

Koniec maja, 1975 r.

Dzwoni telefon. Głos sekretarki kliniki: – doktorze, docent prosi.

– Dziękuję pani Mario. Już idę... Kończąc notatkę o aktualnym stanie badanego przed chwilą pacjenta i odkładam historię choroby.

– Kolego, jutro zgłosi się student piątego roku. Ma indywidualny tok studiów. Trzeba przerobić z nim 2-tygodniowy blok ćwiczeń z psychiatrii, taki jak dla szóstego roku. Był obecny na wszystkich wykładach. Po zaliczeniu ćwiczeń proszę zapisać go na egzamin.

– Tak jest szefie.

Mój student ma na imię Jerzy i brzmiące z węgierska nazwisko. Złotowłosy, niebieskooki. Okulary, w ciemnej oprawie, nadają chłopięcej twarzy wyraz powagi.

Zanim poproszę pacjenta, przypominam o złożoności diagnozy psychiatrycznej. Pacjent skierowany do kliniki z rozpoznaniem zespołu depresyjnego wcale nie musi sprawiać wrażenia osoby pogrążonej w głębokim smutku, a zapytany może zaprzeczyć czarnym myślom czy niechęci do życia. Istnieje grupa chorób w diagnozie, których nie pomogą nam żadne badania laboratoryjne, zapisy EEG czy wyniki tomografii komputerowej. Pozostaje rozmowa z pacjentem. Trzeba nauczyć się rozmowy. Nie można się śpieszyć. Zły kontakt z pacjentem, to błędna diagnoza, nieprawidłowe leczenie i przedłużenie cierpień chorego. Trzeba poznać cechy osobowości, cechy odrębności psychologicznej np. okresu dojrzewania lub okresu przedstawczego, aby nie pomylić ich z objawami choroby. Musimy tak prowadzić rozmowę, aby wyłowić możliwie najwięcej objawów psychopatologicznych, co pozwoli nam na określenie zespołu chorobowego. Ale to za mało. Rozpoznanie np. zespołu depresyjnego nie pozwala na rozpoczęcie leczenia. Może okazać się, że np. stan depresyjny jest następstwem niedoczynności tarczycy, rosnącego guza płata czołowego, rozwijającej się miażdżycy lub efektem leczenia sterydami. Tak więc konieczny jest następny etap postępowania diagnostycznego, czyli rozpoznanie nozologiczne. Jeśli to wszystko zrobimy rzetelnie, dopiero wtedy możemy pomyśleć o zaplanowaniu leczenia.

Mój student nie sprawia wrażenia zniechęconego przemową.

Mijają kolejne dni ćwiczeń. Przez pierwsze dwa dni ja prowadziłem rozmowy z pacjentem a zadaniem mego ucznia było identyfikowanie symptomów choroby, czasem skrywanych – jakby za zasłoną obronnej postawy dyssymulacyjnej. Potem uczeń badał już sam a ja byłem obserwatorem. Zaskakiwał mnie intuicją i znakomitą wyczuwaniem pacjenta.

Gdy stawiałem piątkę przy zaliczeniu, zapytałem, czy nie myśli o pracy na psychiatrii. – Jeszcze nie wiem ... rozważam neurologię – odpowiedział.

Październik, 1977 r.

Zaczął się nowy rok akademicki. Na pierwszym raporcie szef kliniki przedstawia nowego pracownika, znanego mi z ćwiczeń sprzed 2 lat – Jerzego. A więc wybrał psychiatrię. Odbił obowiązkowy, dwuletni, staż poddyplomowy. Zgłosił się do konkursu na etat asystenta i jest już naszym kolegą.

Jurek – szybko nazwany Irzykiem – okazuje się nie tylko fajnym, ale i bardzo przydatnym kumplem. Świetnie zna się na statystyce, więc natychmiast zostaje wykorzystany. Po paru miesiącach jest już współautorem kilku prac oddanych do druku. Pracujemy razem w oddziale kobiecym. Ponownie mam okazję stwierdzić, że Irzyk „ma nosa”. Nie zna jeszcze całej symptomatologii, trzeba sporo czasu, aby poznać wszystkie objawy i relacje dotyczące łączenia się niektórych w – ważne dla diagnozy – tzw. symptomokompleksy. Jurek ma już swoich pacjentów, pisze obserwacje w historiach chorób, zleca odpowiednie badania, rozpisuje dawki leków.

Pewnego dnia prosi mnie o konsultację. Umawiamy się na wspólne badanie po zakończeniu zajęć ze studentami. Szybka kawa i Irzyk przyprowadza do gabinetu swoją nową pacjentkę.

Iza ma 17 lat, jest uczennicą przedmaturalnej klasy szkoły muzycznej. Piękna, szczupła, wysoka. Duże ciemne oczy, nieruchoma błada twarz, długie opadające na ramiona włosy. Portret Czarnej Madonny.

Jurek dwukrotnie badał pacjentkę. Kilkugodzinne w sumie badanie – jak powiedział – kręciło się wokół zespołu depresyjnego, ale – coś tu brakuje...

Zaczynam zadawać pierwsze pytania. Początkowo Iza milczy. Opuszczona głowa, włosy zasłaniają twarz, splecione na kolanach dłonie. Posąg. Po kilku minutach, najpierw szeptem, potem nieco głośniejszym, Iza zaczyna odpowiadać.

Powoli rysuje się obraz zamarłego świata. Szarość i czerń, przeraźliwa cisza, czasem, gdzieś jakby zza chmur, dźwięk dzwonu, ale jakiś dziwny.

Irzyk notuje słowa pacjentki, niektóre z nich podkreśla. Widzę, że Iza jest zmęczona. Dziękuję jej za rozmowę, zapewniając, że wróci słońce, wrócą kolory i będzie grała swoje ulubione sonaty.

Jurek nie ma jeszcze doświadczenia, aby uchwycić dopiero rozwijające się objawy inicyjalnej schizofrenii. Polecam, aby nagrał na taśmę kolejne badanie. Będzie bardzo pomocną ilustracją przy omawianiu dynamiki choroby zarówno dla studentów jak i specjalizujących się lekarzy. Wskazuję na niepokojące wypowiedzi pacjentki. Przypominam, że postawimy diagnozę wstępną zespołu psychopatologicznego, nie używając terminu schizofrenia. Taką diagnozę można postawić dopiero przy drugiej hospitalizacji, po analizie okresu tzw. remisji, tj. ocenie obrazu klinicznego po wypisaniu z kliniki. Jest to zbyt poważne rozpoznanie, aby się śpieszyć.

Wrzesień, 1982 r.

Mojemu koledze Andrzejowi, kompanowi z wcześniejszych spływów kajakowych po Krutyni i Czarnej Hańczy a także rejsów po jeziorach mazurskich, udaje się załatwić czarter małego jachtu kabinowego. Andrzej, także psychiatra, ordynator sąsiadującego z kliniką oddziału szpitalnego, przypadkowo dowiedział się, że w jednym z klubów żeglarskich będzie wolny, przy końcu sezonu, Orion. Wspaniała wiadomość.

Popłynie z nami Irzyk, który już wcześniej, znając nasze zamiary, nieśmiało prosił o włączenie do załogi. Robimy listę zakupów i każdy dostaje swój przydział.

Jest stan wojenny i są problemy z nabyciem nie tylko konserw, ale i makaronu. Problemem nie do przeskoczenia staje się napełnienie butli gazowych, co przypadło Irzykowi. Każdy z nas odwiedza okoliczne stacje benzynowe, ale bez powodzenia. Decydujemy, że spróbujemy załatwić sprawę po drodze.

W sobotni rano pakujemy swoje torby, śpiwory i kartony do Andrzejowego Wartburga. Łódkę mamy odebrać o osiemnastej, na półwyspie w pobliżu Węgorzewa. Przy mijanych stacjach benzynowych powtarzający się obrazek. Długi wąż pustych butli i kilka osób z „komitetu kolejkowego”. Nie możemy czekać. Jedziemy dalej. Może bliżej Mazur będzie lepiej? Nie było...

Po odebraniu Orionu odpływamy na zachód od ujścia kanału i cumujemy w małej, zacisznej, zato-
czce pięknego jeziora Mamry. Miejsce to wskazał na mapie Irzyk, gdyż od brzegu jeziora do – łączącej nas z
cywilizacją szosy – jest tylko kilkaset metrów.

Zjadamy kanapki, pijemy wodę mineralną, mycie zębów „na burcie” i lulu.

O świcie Irzyk chowa do kieszeni mapę, bierze butle i zeskakuje na brzeg. Po chwili niknie w ścielącej się mgłę.

Mija niedziela. Nadal wietrznie, pochmurno i chłodno. Na jeziorze zaledwie kilka żagli. Andrzej trochę czyta, trochę drzemie.

– Nie zabłądzi Irzyk? – pyta patrząc na zegarek jakby się gdzieś spieszył.

– Nie zabłądzi. W czasie studiów samotnie wędrował po szlakach norweskich. Z namiotem, kom-
pasem i mapą – odpowiadam.

Poniedziałkowy rano. Kanapki i minerałka do popicia.

– Pyszna, dobrze schłodzona – żartuje Andrzej, dociągając pod brodę suwak polara. Przed wie-
czorem, od brzegu, głośne zawołanie: – Ahoj śpiochy! Wyskakujemy z kabiny do kokpitu. – Mam, mam!
Irzyk potrząsa uniesionymi do góry butlami i radośnie podskakuje. – Nu, smatritie rebiata! Wot mołodiec!
Andrzej poklepuje Jurka a ja nalewam do szklaneczek whisky. Trzeba uczcić ten wyczyn! Po kilku minutach
kabinę wypełnia smakowity zapach smażonego boczk. Pyszna jajecznica i prawdziwa gorąca herbata. Rano,
na pełnych żaglach, ruszamy w stronę Sztynortu.

Sierpień, 1983 r.

Ponownie na Mazurach w tym samym składzie. Z zakupami nadal problemy ale wiedząc wcześniej,
że mamy pewny czarter jachtu z wypożyczalni w Giżycku, przygotowaliśmy się do rejsu. Mamy, zaweko-
wane przez nasze żony: – gołąbki, gulasze i pulpety. Butle Irzyk nappełnił gazem jeszcze w marcu. Koniec
sierpnia ciepły, ale mokry. Odbieramy naszą Venus, łódkę większą i wygodniejszą, wyposażoną w naczynia,
dwupalnikową kuchenkę i zlewozmywak, ale – co najważniejsze – wyklejoną wewnątrz materiałem, podo-
bnym do filcu, co sprawia, że przy deszczowej pogodzie wilgoć nie skrapla się na suficie i ścianach. Nie kapie
na głowę, jest sucho i przytulnie.

Z położonym masztem przepławiamy się na silniku przez kanał Giżycki i po wejściu na Niegocin kie-
rujemy się na prawy brzeg. Cumujemy na dziko, kilkaset metrów od gwarnych nabrzeży i pomostów ośrodka
żeglarskiego w Wilkasach.

Andrzej przygotowuje sobie na jutro duży garnek, kostki rosółowe i woreczek kaszy gryczanej. W
ubiegłym roku nie udało się jej kupić. Dawniej jedną z pierwszych porannych czynności było ugotowanie
kaszy. Tylko Andrzej potrafi taką przygotować. Kasza będzie pyrkotać w wywarze z kostek do momentu,
gdy nasz znakomity kuk poda komendę: – wyłączyć gaz! Podniesie garnek, ja owinę go dwiema gazetami.
Potem garnek zostanie opatulony najpierw śpiworem a potem jeszcze kocem. Umieszczony w części dzio-
bowej kabiny i przygnieciony pozostałymi śpiworami i kocami będzie czekał wieczora. Wtedy zacznie się
uczta! Wspaniały rosółowy zapach, kasza będzie „na sypko”, chrupiąca, polana sosem i wzmocniona pulpetem
osiągnie poziom doskonałości. Ale to będzie jutro.

Dzisiejsza kolacja to kanapki z suchą kielbasą, plasterkami pomidora i cebuli. Przestało padać więc
siadamy w kokpicie. Jest już ciemno. Latarnie przy pomostach błyskają odbiciem na marszczącej lekkim
wiatrem tafli jeziora, a z głośnika niesie się po wodzie głos Szczepanika: – „zmierzch z jezior żagle zdjął,
mgieł porozpinał sto...”.

Irzyk opowiada o swojej rodzinie, żonie Wiesi, synach Piotrze i Pawelku. Pawelek, młodszy o kilka
lat, marzy o klockach Lego. Można je nabyć w sklepach Pewexu lub Baltony. Ale trzeba mieć bony. Jurek
pozazdrościł mi pracy w charakterze lekarza okrętowego na trawlerze przetwórnym.

Kilka lat wcześniej odbyłem, uzyskując bezpłatne urlopy w Akademii Medycznej, dwa półroczne rejsy na łowiskach antarktycznych, co skutkowało m.in. przydziałem bonów baltonowskich. Po rejsach mogłem w sklepach Baltony zakupić wymarzone przez córkę i synka zabawki i słodycze.

Irzyk ma już zgodę rektora na bezpłatny urlop i czeka na sygnał z „Dalmoru”. Udzielam mu kilku praktycznych wskazówek, m.in. jak sobie radzić, gdy nagle do gabinetu zgłasza się kilkunastu rybaków ze skargami sugerującymi wręcz nagłą epidemię. Oczywiście trzeba wszystkich zbadać – przy pomocy rąk i słuchawki lekarskiej. Należy zapamiętać, że na lądzie, są laboratoria przekazujące wyniki koniecznych badań, że można w każdej chwili skorzystać z konsultacji specjalisty, zrobić np. badanie ekg lub zdjęcie rtg. Gdy badanie organoleptyczne w kabinie lekarza okrętowego wskazuje, że tajemnicza epidemia jest jakaś dziwna, należy dyskretnie zasięgnąć informacji czy przypadkiem trawler nie zmienia właśnie łowiska. Taki manewr, zajmujący zwykle kilka dni, to dla rybaków okres martwy. Nie ma połowów – nie ma ryb, nie ma dodatkowego zarobku. Opłaca się mieć zwolnienie lekarskie. Sekcja Płac naliczy wówczas „chorobowe”. Rybacy wiedzą czy lekarz już pływał i ma doświadczenie czy też jest po raz pierwszy na oceanie i można coś pokombinować. Nie wolno okazać, że podejrzewa się symulację. Z pomocą przychodzą w takiej sytuacji zastrzyki, których rybacy dalekomorscy boją się jak diabeł święconej wody. Z poważną miną informuje się ofiary „epidemii” o konieczności zastosowania serii „mocnych” iniekcji. Seria składa się z pięciu, podawanych co godzinę, zastrzyków domięśniowych. Zastrzyki są mocne, ale „trochę bolące”. O ile nie będzie poprawy po pierwszej serii, konieczne będzie zwolnienie z pracy i powtórzenie kuracji. Cudownym zastrzykiem jest witamina C. Rzadko się zdarza, aby amator zwolnienia nie poczuł się znacznie lepiej już po drugiej iniekcji. Od lekarzy okrętowych słyszałem o twardzielu, który poczuł się zupełnie zdrowym po czwartym zastrzyku.

Następnego ranka wita nas słońce. Przeplływamy na żaglach Niegocin i zatrzymujemy się przy pomościach jeziora Boczne. Przed nami kanały, trzeba więc położyć maszt i przygotować silnik. Irzyk dołał „pod korek” paliwa i ciągnie linkę rozrusznika. Raz, drugi, trzeci... Każdy z nas zmaga się z „szarpanką”. Cisza. Irzyk – mianowany na szefa maszynowni – wyciąga torbę z narzędziami i na rozłożonej w kokpicie ścierce rośnie kupka śrub, śrubeczek, blaszek i sprężynek. Obaj z Andrzejem jesteśmy mało techniczni więc pozostaje nam gapić się z podziwem na Irzyka. Nasz mechanik wyciera każdą część szmatką i dokładnie ogląda. – Nie podoba mi się ten zaworek – mówi, obracając w palcach blaszkę wielkości małej monety.

– Może coś zamokło w silniku po wczorajszym wieczornym deszczu? – zastanawia się Andrzej.

– Zobaczmy – odpowiada Irzyk i składa silnik. – Jeśli nie zaskoczy to mamy problem – dodaje.

No właśnie. W Mikołajkach są warsztaty, ale wcześniej są kanały. Zabawę w burłaczenie przerabialiśmy z Andrzejem, tu na kanałach mazurskich, przed ponad dziesięć laty. Przyrzekliśmy sobie wówczas: – nigdy więcej!

Pozostaje postawienie masztu i powrót do Giżycka.

Irzyk złożył silnik i pociągnął za linkę. Zawarzało na chwilę i zgasło. Jeszcze jedna próba i to samo. Kilka obrotów i cisza. Jurek ponownie rozkłada narzędzia i zwraca się do Andrzeja – widziałem wczoraj, że pakowałeś takie małe puszkki z koncentratem pomidorowym. – Gdzie one są?

– W przedniej, lewej bakiście. A co, zgłodniałeś?

– Co to bakista? Gdzie to jest? – odpowiada pytaniem Irzyk.

– Wreszcie czegoś nie wie – mruczy pod nosem Andrzej i przynosi puszkę.

Irzyk szczyrykiem wycina dekiel puszkki i wyciera go szmatką. Po chwili ponownie na ścierce rośnie kupka metalowych części. Irzyk ściąga jeden z koców przykrywających garnki z kaszą, następnie wyjmując ze schowka kotwicę i siekierkę. Składa koc w kostkę, kładzie go na udzie a następnie na kocu układa kotwicę. Teraz na trzonie kotwicy spoczywa dekiel i zaczyna się, przy pomocy siekierki, wykłapywanie. Gdy jest już gładki jak kartka papieru Irzyk szczyrykiem odrysowuje na nim kształt blaszki, nazwanej wcześniej zaworkiem. Nożyczkami wycina ten kawałek i podgina lekko jedną z krawędzi kombinerkami. Teraz szybki montaż silnika. Stary zaworek trafia do kieszeni i następuje próba odpalenia. Irzyk powoli nachyla się nad silnikiem.

– No panowie! – mówi – Mikołajki czy powrót do Giżycka?

Nabiera do płuc powietrza, podpira się lewą ręką na listwie rufy i prawą, z całych sił, wyszarpuje linkę rozrusznika. Ter!... ter!... ter!... Z przewodu chłodzącego tryska strumień wody.

– Nie, niemożliwe! – krzyczy Andrzej – Cud! Ludzie! Cud! Wołać biskupa!

Irzyk odwraca się do nas uśmiechnięty.
– Zdejmować cumy? – pyta.

Czerwiec, 1986 r.

Minęły trzy lata. Ponownie jesteśmy na Mazurach. Po raz kolejny stwierdzamy, że jeziora kurczą się. Mała jeszcze niedawno wysepka, jest już półwyspem, na którym biwakuje grupa motocyklistów. Ponoć to wina spływających do jezior, z okalających pól, nawozów sztucznych.

W ostatnim okresie wszyscy byliśmy przytłoczeni różnymi obowiązkami i nie było pewności czy uda się wygospodarować chociażby tydzień na żeglowanie. Udało się, ale było już za późno, aby zamówić porządną łódkę. Trafiła się „samoróbka”. Drewniany Rambler z ciężkim i wielkim masztem, bawełnianymi żaglami, ciasny i niewygodny, w dodatku bez silnika. Trudno. Pokręcimy się po Beldanach, od służby w Gu-ziance do Mikołajek. Ewentualnie przepłyniemy, na wiosłach, pod mostami w Mikołajkach i będą do dyspozycji jeszcze Tałty. Śniardwy omijamy ze względu na złe oznakowanie, skrytych pod powierzchnią, kamieni. Prognoza pogody wskazuje, że po pierwszych dwóch dniach mglistodeszczowych, będzie ciepło i słonecznie. Decydujemy się na Tałty, mało atrakcyjne, jeśli chodzi o linię brzegową. Zaliczymy Ryn i wrócimy na ulubione, urokliwe Beldany. Ruszamy więc z Mikołajek w stronę trzech mostów, oddzielających jezioro Mikołajskie od rynnowatych i głębokich Tałt.

Andrzej i ja siedzimy po obu stronach dziobu i postępując staramy się utrzymać rytm wiosłowania. Irzyk, drobniejszy od nas, siedzi przy sterze, pokrzykując od czasu do czasu: – Mocniej! Wreszcie wypływamy spod trzeciego mostu i lawirując między rozstawionymi sieciami dobijamy do brzegu. Stawiamy maszt i z trudem wciągamy, nasiąkający wilgocią bawełniany żagiel. Przy pomocy wiosel wychodzimy ze strefy sieci na środek, wąskiego w tym miejscu jeziora. Stawiamy drugi żagiel.

Nagły podmuch i: – tarach! Zamiast grotu mamy dwie, łopoczące i tryskające kropelkami wody szmaty. Na fokę, wracamy między sieciami do brzegu. Są na szczęście trzy igły więc zszywanie żagla nie powinno zająć więcej niż dwie godziny. Zabieramy się do pracy. Jest zimno, nie ma warunków do montowania palnika na butli gazowej i gotowania wody na herbatę. Rozgrzewamy się szklaneczką whisky i do roboty. Każdy ma swoją jedną trzecią żagla.

Po blisko trzech godzinach grot jest cały. Na dworzec ponuro, mimo południa szaro i mokro. Chwilami ostre szkwały.

– Słuchajcie – mówię – przeskoczmy na zrefowanym grocie na drugą stronę. Wysoki brzeg i drzewa uchronią nas przed zimnym wydmuchem. Założymy tent, zjemy coś ciepłego i potem zdecydujemy co dalej.

– Przydałby się silnik – mruknął Irzyk. Nasze żagle pamiętają chyba czasy Kolumba – dodał ze skwaszoną miną.

Cumujemy łódkę do pochylonej nad wodą wierzby. Andrzej nakręca na butlę palnik i ustawia ją w kokpicie, przed wejściem do kabiny.

– Uwaga – nie kopnąć czajnika i nie huścić!

Zjadamy parówki z ketchupem, zagryzamy ogórkiem małosolnym i pijemy gorącą herbatkę. Andrzej stwierdza, że jak na razie, to dziękuje za radosne halsowania, bo natychmiast musi się zdrzemnąć. Znika w kabinie i opatula się śpiworem. Po chwili już pochrapuje.

Irzyk szykuje dwie kolejne herbatki i wzmacnia je dolną whisky.

– Wypijemy... jak na łowisku – mówi podając mi szklanę.

– No właśnie – chwytam temat. Na łądzie ciągle na wszystko brak czasu. Na statku, przynajmniej dla lekarza, dzień jest bardzo długi. Przygotowałeś sobie doktorat, zryłeś się do egzaminu specjalizacyjnego, a po powrocie ciągle nie było czasu abyś coś więcej opowiedział. Pół roku na oceanie. Tyle wrażeń ...

– Tak, masz rację – odpowiada Irzyk i milknie. Patrzy gdzieś daleko, dalej niż na zamglony, przeciwny brzeg...

– Wiesz, powiem ci coś, co mnie dręczyło... Zupełny idiotyzm... Nad mężczyznami mojej rodziny ciąży fatum... Nikt nie przeżył pięćdziesiątki... Także ani dziadek, ani ojciec... Usłyszałem to przypadkowo od ojca, gdy byłem jeszcze prawie dzieckiem. Nie rozumiałem tych słów... Przypomniały mi się na pogrzebie ojca. Odrzuciłem je jako bzdurę... średniowiecze... Wspomnienie to nękało mnie kilka dni podczas pobytu na

oceanie i znikło. Nie rozumiem, dlaczego teraz gdy nalewałem herbatę, znowu wróciło...? Wiem, że bzdura, przypadek, a jednak pojawia się nieokreślony lęk... Ale, zmieńmy temat! Gdybyś widział mojego Pawełka, gdy przywiozłem mu z Gdyni wielkie pudło klocków Lego...

Irzyk zaczyna się śmiać i widzę, że twarz rozluźniła się i jest znowu sobą... Nigdy później nie usłyszałem od Jurka słowa fatum.

Czerwiec, 1989 r.

Irzyk jest już specjalistą z zakresu psychiatrii, doktorem nauk medycznych i zaczyna pisać pierwsze rozdziały pracy habilitacyjnej. W ubiegłym roku odbył kilkumiesięczny staż naukowy w belgijskiej klinice, w Leuven. Przeprowadził badania, których w Polsce, ze względu na brak aparatury, nie mógłby wykonać. Pasjonuje się różnicami w obrazie klinicznym psychoz, zależnymi od dominacji – w funkcjonowaniu mózgu – prawej lub lewej półkuli. Praca nowatorska, niezwykle ciekawa.

– Pisz mistrzu szybko i publikuj pierwsze wyniki, żeby cię ktoś nie ubiegł! – radzę pół żartem, pół serio.

– Łatwo ci mówić – odpowiada śmiejąc się. – Próbuję dotknąć zaledwie wierzchołka góry lodowej. Acha, mam pytanie – dodaje – potrzebny mi mechanik, bo moja Łada chyba się starzeje i zaczyna niedomagać.

– Poczekaj chwilę, zajrzę do kalendarzyka – mówię i sięgam do teczki.

Irzyk kupił okazjnie w Belgii kilkuletnią, jasnozieloną Ładę. Przyjechał nią do kraju, robiąc żonie i synom radosną niespodziankę. Podaje mi numer telefonu zaprzyjaźnionego mechanika.

– Możesz mu zaufać. Rzetelny, dokładny... Słuchaj, widziałem wczoraj, że rozmawiałeś przed kliniką z tą pacjentką... Czarną Madonną... jak ona się nazywa?

– A tak – odpowiada Irzyk – Iza... Skończyła akademię muzyczną, gra w filharmonii... Czasem miewa lekkie zaostżenia, ale udaje się rozpędzić je ambulatoryjnie. Przychodzi do naszej poradni przyklinicznej... Wtedy, gdy poradziłeś mi, żeby ją nagrać, miałeś rację... Uczyłem się sam z tej taśmy, potem pomagała mi w prowadzeniu zajęć ze studentami. Za dwa dni Iza wyjeżdża z zespołem na koncerty. Przyszła po receptę...

– Mam wrzątek, wypijesz kawkę? – pyta. Gdy wsypuję do filiżanki cukier widzę, że Irzyk ukradkiem wkłada do ust jakieś tabletki. Dostrzega moje spojrzenie.

– To polopiryna. Coś mi ostatnio dokuczają stawy... Trzeba będzie odwiedzić reumatologa – wyjaśnia i dodaje: – dzięki za mechanika. Piotr i Pawełek strasznie chcą się uczyć jeździć... Spogląda przez okno.

– Patrz jaki piękny czerwiec. Może w przyszłym roku uda się wyrwać na Mazury?

Marzec, 1994 r.

Nie udało się. U Irzyka zdiagnozowano chorobę nowotworową. Kolejne chemie i naświetlania. Utraty i odrosty włosów. Ciągące się dni smutnego zamyślenia. Cisza z rzadka przerywana pojedynczymi słowami. Są też lepsze chwile... Irzyk snuje plany dalszych badań, opowiada z dumą o synach, wygrywanych olimpiadach szkolnych. Na stronach czasopisma „Żagle” zakreślił długopisem adresy nowych wypożyczalni jachtów.

– Popatrz jakie łajby, jakie wyposażenie. Trzeba będzie zadzwonić. Można nawet mieć ciepłą wodę...

Luty, 1995 r.

Zmarł Irzyk. Cicho, bez słów, jakby na chwilę zasnął. W przeddzień pogrzebu telefonuje dziekan wydziału lekarskiego. Szef kliniki jest poza krajem, więc sekretarka łączy ze mną.

– Panie kolego. Pan rektor i ja prosimy, aby pan pożegnał, w imieniu władz uczelni, zmarłego adiunkta... Jutro w Warszawie jest pilna narada w sprawie zmian w programie studiów i wszyscy musimy tam być... Adiunkt był naszą nadzieją... rozumie pan kolego, kilka słów, na cmentarzu...

– Oczywiście panie dziekanie – bąkam przerażony. Przemówić nad grobem adiunkta? Tak po prostu przemówić?

Mroźny wiatr szczypie w policzki. Stoję obok trumny przy otwartym grobie. Z lewej podtrzymywana przez Piotra i Pawełka matka Jurka. Dalej żona Wiesia i siostra Irzyka. Ksiądz kończy modlitwę i odsuwa się

niec do tyłu. Kolej na mnie. Patrzę na trumnę na zebranych wokół ludzi. Personel kliniki, lekarze, pielęgniarki, salowe i salowi, są też studenci z koła naukowego. Twarze znajome, twarze obce. Znieruchomiałe, smutne.

Zaczynam, przygotowaną i powtarzaną kilkakrotnie w nocy, przemowę: – Adiunkt Jerzy... Kilka pierwszych zdań o młodym naukowcu, ważnych dla praktyki lekarskiej publikacjach, pracy doktorskiej i niemal już ukończonej habilitacji, o świetnym, cenionym przez studentów nauczycielu akademickim, lubianym przez pacjentów lekarzu, o przyjacielu... I nagle ucieka mi z głowy cała, wykuty na pamięć tekst i opowiadam, jak Irzyk potrafił wielokrotnie analizować poprawność postawionej diagnozy, by nie popełnić błędu, by rozpoczęte leczenie pacjenta było rzeczywiście najlepszym z możliwych. Jakim był wspaniałym kolegą i przyjacielem, niezawodnym kompanem w czasie rejsów po Mazurach. Relacjonuję zмайsterkowanie przez kolegę adiunkta – przy pomocy kotwicy, siekiery i nożyczek – części silnika z puszki po koncentracie pomidorowym i dostrzegam kątem oka zainteresowane spojrzenia Piotra i Pawełka.

Na ułamek sekundy pojawia się migawka sprzed niemal dziesięciu lat. Deszczowy wieczór na Tałtach... twarz Irzyka... słowo fatum...

Spoglądam na synów Irzyka. Młodzi, silni, wspaniali. Wraca do głowy wyuczony tekst i – już bez improwizacji – żegnaj w imieniu władz uczelni kolegę adiunkta.

Po trzech tygodniach, tuż przed wieczorem, zachodzę na cmentarz zapalić Irzykowi lampkę. Alejki puste. Pojedyncze płatki śniegu kontrastują z tablicami i krzyżami z czarnego granitu.

Grób Irzyka już uprzątnięty z pogrzebowych wieńców i wiązanek. Pałają się trzy jednakowe znicze. Chyba Wiesia i synowie – myślę. Matka i siostra mieszkają w Radomiu. Zapalam swoją lampkę i stawiam na grobie. Nagle obok mnie zjawia się postać kobiety. Wysoka, szczupła z narzuconą na głowę czarną chustą. Stoi bokiem, nie widzę twarzy. Stawia na grobie mały zielony lampionik i wtedy spogląda w moją stronę. Tak, to pacjentka Irzyka. Czarna Madonna.

– Dobry wieczór pani Izo!

– Dobry wieczór! Poznał mnie pan?

Robi znak krzyża i odmawia modlitwę. Poruszające się wargi i przylegające do nich, na moment – zanim się zamienią w kropelki wody – płatki śniegu.

Piękna, nieruchoma twarz Czarnej Madonny. Kończy modlitwę i na moment odwraca się do mnie – ksiądz poeta napisał: – „zostają po nich buty i telefon głuchy...”. Odchodzi krok i dodaje jeszcze – inny poeta śpiewał: – „pamiętajcie o ogrodach...”. Może ktoś napisze: – pamiętajcie o swoich lekarzach? Tu nie trzeba być poetą...

Święta Wielkanocne, 1995 r.

Świąteczny wieczór. Dzwoni koleżanka pełniąca dyżur w klinice.

– Słuchaj... – mówi łamiącym się głosem. Przed chwilą otrzymałam wiadomość od siostry Jurka. Milicja powiadomiła ją, że kilka godzin temu, w wypadku samochodowym koło Zwolenia, zginęli na miejscu Wiesia i synowie Jurka... Jechali Ładą... Płacz koleżanki przerywa rozmowę. Po kilku chwilach mówi dalej: – Samochód prowadził Piotrek, wyskoczył na szosę pies... Piotruś chciał go ominąć... wpadli w poślizg i rozbili się na drzewie... Była karetka... nikt nie przeżył... Wiesia wiozła, mamie Jurka, świąteczne ciasta...

Koleżanka mówi coś jeszcze, ale nie słyszę...

Wraca deszczowy wieczór na Tałtach: – twarz Irzyka... cicho wypowiedziane słowo fatum... cmentarz... trumna... Piotruś i Pawełek...

Fatum?

Wyróżnienie

Jerzy Andrzejczak – godło *Oxford*

Zuzanna i Starzec

Nestor jest już w drodze na cmentarz. Poczekaj tam na Rodzinę, która, jak zwykle, spóźni się na uroczystość. W rozumieniu Nestora spóźnić się znaczy nie przybyć z wystarczająco dużym wyprzedzeniem, albo być punktualnym co do minuty. Nestor jest przedwojennym kolejarzem. Pracował w drużynach konduktorskich i wie, że być punktualnym znaczy rozpocząć pracę nim maszynista przetoczy pociąg na peron.

Teraz niedzisiejszą punktualność zapewnia Nestorowi firma pogrzebowa, bo to jej eleganckim pojazdem udaje się na cmentarz. Firmy pogrzebowe powinny być punktualne, inaczej narażają się na spiętrzenie usług i wymieszanie idących w konduktach (słuchaj, czy to aby n a s z pogrzeb?). Dzięki tej wymuszonej punktualności Nestor poczeka na Rodzinę w kameralnej kaplicy. Ciekawe, czy zajrzą do niego choć na chwilę, gdy wpadną w pośpiechu, zdenerwowani tradycyjną sprzeczką. Będą dziwnie pachnieć, bardziej teatralnie, niż pogrzebowo, nie jak za jego czasów, kiedy ludzie chronili z trudem uciulany dobytek naftaliną. Żywiczna woń wieńca i zapach naftaliny to prawdziwa atmosfera późnojesiennego pogrzebu.

Tak, Nestor od czterech dni nie żyje i po raz pierwszy, szkoda, że nie w życiu, podróżuje wielkim, wygodnym, czarnym mercedesem. Gdyby założył sobie, że przejedzie się taką limuzyną przed ukończeniem stu lat, to zamiar powiódłby się mu na miesiąc przed terminem.

Nestor ma młodszego brata. Ma, bo skoro brat żyje, to Nestor go ma, choć sam nie żyje. Młodszy brat jeździ na wózku inwalidzkim, a właściwie jest wożony, ponieważ ma słabe ręce. O chodzeniu już nawet nie myśli – przy próbie wstania nogi drżą i załamują się w kolanach. Dlatego czuje się starcem. Niebawem skończy 95 lat.

W dniu pogrzebu Nestora wokół Starca gromadzi się teatralnie pachnąca Rodzina, mówiąc ściślej, Rodzina gromadzi się obok Starca. Przecież nie zabierzemy go na cmentarz, jak go wsadzisz do samochodu, jak zapakujesz wózek? Pamiętasz, jak tam jest wąsko koło grobu? Z wózkiem go zatarabanisz? Trzeba by z nim w kaplicy zostać, a tam następny pogrzeb... Tu niech ktoś zostanie!

Starzec spogląda w przestrzeń za oknem. Trudno powiedzieć, widzi coś, czy tylko patrzy. Jego oczy tracą blask, jakby wyjątkowo szybko dojrzewała w nich zaćma.

Zostaje w domu z młodą kobietą. Przechodził na emeryturę, kiedy ona się rodziła, musi więc mieć około... trzydziestki. Jest... pasierbicą... córki... jednej z nieżyjących kuzynek Starca i Nestora. Ostatecznie wypada jej nie uczestniczyć...

Trzydziestoletnia siada w fotelu, zrzuca niewygodne buty na wysokim obcasie. Na nogach ma czarne grube rajstopy. Rozgląda się. Wszystko tu jest stare i niemodne... No, może jedna, dwie rzeczy znowu modne.

Mija kwadrans... Cholera, on coś mówi... może tylko pić mu się chce?... Trzydziestoletnia podchodzi bliżej. Jak ci na imię? Zuz... Trwanie tej jednej sylaby nie sylaby wystarcza, aby poczuła rękę Starca pod spódnicą. Odruchowo przycina palce między kolanami niczym w drzwiach i drętwieje. Ręka rzeczywiście jest słaba i chyba delikatna, nie chce walczyć. Jej cierpliwość zostaje jednak jakimś cudem wynagrodzona. Dłoń może zbadać powierzchnię jednego uda, a w miejscu, gdzie natura obdarzyła niektóre kobiety rodzajem prześwitu, grzbiet ręki udziela i sobie, i skórze drugiego uda niespodziewanej przyjemności. Ręka znów jest w okolicy kolan i niechętnie wraca do właściciela.

Sprawdzając słuszność swego przypuszczenia sprzed minuty, Trzydziestoletnia przynosi z kuchni szklankę wody, sama pije prosto z kranu, jakoś dziwnie zaschło jej w ustach. Wydarzenie, które zaszło między pytaniem Starca a zaskakującą wyprawą ręki, kryje się powoli w nawiasie o bardzo grubych klamrach.

Kochany starszy bracie, dziękuję ci, że wtajemniczyłeś mnie wtedy w te sprawy – pamiętasz, kiedy ty wróciłeś właśnie z wojska, a ja miałem 19 lat. Twoje nauki nie poszły w las. Uczciłem twoje odejście po naszymu. Niedługo do ciebie dołączę. Na pogrzebie tłumów może nie będzie, ale przynajmniej wiem, kto przyjdzie na pewno.

Wyróżnienie

Anna Pituch-Noworolska – godło *Magnolia*

Dom moich snów

1. Zapis jednego roku

Ten rok był trudny dla dziewczynki. Chorowała od września przez całą zimę, aż do następnego lata. Zaczęło się od żółtaczki – na rozpoczęcie roku przyszła jej koleżanka z ławki żółta jak pomarańczka i szybko zniknęła w szpitalu. W trzy tygodnie później dziewczynka z objawami żółtaczki również znalazła się w szpitalu. Potem była chwilę w domu, ale pojawiły się poważne komplikacje, stwierdzono zapalenie mięśnia sercowego i znowu długi pobyt w szpitalu. Po dwóch miesiącach wróciła do domu, ale tylko na chwilę. Seria chorób skończyła się w sierpniu, co pozwoliło na krótkie wakacje. Była zdolna, uczyła się szybko, więc w krótkich okresach pomiędzy szpitalem a chorowaniem w domu chodziła do szkoły i zdawała kolejne porcje materiału. Udało się uratować rok szkolny i to z dobrymi notami na świadectwie. To było dla niej ważne, bo zależało jej i na ocenach szkolnych i na tym aby nie zostać na drugi rok w tej samej klasie, choć nie z jej winy. Była dumna ze swojego osiągnięcia i z tego, że udało się przejść do kolejnej, czwartej klasy.

Okresy pobytu w domu nauczyły ją cierpliwości, umiejętności zagospodarowywania czasu gdy znudziła i zmęczyła się czytaniem, odrobiła wszystkie zadania. Wiele dni spędzała samotnie, do czasu gdy po pracy wracało któreś z rodziców, częściej matka i młodszy brat. Nauczyła się obserwować otoczenie, stwarzać interesujące obrazy z tego, co miała w zasięgu wzroku, tworzyć fantazyjne opowieści. Starła się je zapisywać, ale myśli i obrazy płynęły szybciej, niż mogła to zapisać. Miała przecież dopiero dziewięć lat. Ćwiczyła pamięć odtwarzając z zamkniętymi oczyma obrazy, które uważała za ciekawe i udane. Poza pokojem dzieci, rodziców i kuchnią wolno jej było wychodzić na balkon biegnący od strony podwórza wzdłuż całej kamienicy. Tu też była sama, bo najbliższych sąsiadów z mieszkania obok nie było przedpołudniami. Była skazana na wypełnienie czasu, który, w takich sytuacjach płynie bardzo wolno.

2. Strych

Wysokie poddasze kamienicy było wykorzystywane jako strych. Drzwi zamykane na wielki klucz były powodem wzdychania dzieci ze wszystkich 3 pięter. W chodziło się na strych tylko przy okazji wieszania

nia prania i zdejmowania gdy wyschło. Białe, grube sznury były jednakowe, mocno napięte, ale każdy z mieszkańców wiedział, które są jego. Na strych szło się z tak zwanym „dużym praniem”, a więc rzadko, gdy nagromadzona pościel, obrusy, firanki, zasłony zostały wyprane. Takie pranie wymagało sporej organizacji i pomocy – gotowania wody na kuchni, przygotowania krochmalu. Dzieci nie miały wstępu do kuchni dopóki wykręcone pranie nie leżało w koszu, gotowe do powieszenia na strychu. Jeśli nie było to lato, to idąc na strych zabierało się latarki lub lampę do powieszenia, bo strych nie miał własnego oświetlenia. Podłogę strychu stanowiła drewniana posadzka z krokwiemi z drewnianych beli, które miały po 25 cm grubości. Na posadzce i na krokwiach leżała kilkucentymetrowa warstwa kurzu. Kobiety z ciężkimi koszami, miednicami z mokrym praniem poruszały się zgrabnie pomiędzy belami. Na krokwiach podpierających strukturę dachu były haki na lampy, latarki żeby oświetlić sznury i pranie. Z kurzu wilgotnymi szmatkami wycierano jedynie sznury. Pościel, obrusy, firanki czy zasłony wieszaly dwie osoby tak uważnie żeby nie dotknąć krokwi, nie zahaczyć o inny sznur. Dzieci mogły towarzyszyć kobietom, ale powoli i delikatnie chodząc między krokwiemi lub po nich. Oczywiście bieganie, chowanie się za belki w zacienionych miejscach było surowo zakazane. Część z zawieszonymi sznurami stanowiła niewielki fragment poddasza – tę od strony podwórza, która była wysoka i pozwalała na wyprostowanie się dorosłego człowieka, powieszenie dużego fragmentu materiału bez składania go. Im dalej od części użytkowej strychu tym niższe było poddasze. Dojście do ściany frontowej domu i możliwość wyjrzenia na ulicę przez małe okienko miał tylko najmłodszy chłopiec, wówczas dwuipółletni. Im bliżej tych okienek technicznych tym więcej było ptasich piór, odchodów, szczątków gniazd i skorupek jajek. Znalezienie ładnego, czystego pióra stanowiło dowód udanej wyprawy na strych. Penetrowanie poddasza zajmowało czas, dotykanie i badanie warstw kurzu, oglądanie krokwi, które uruchamiały wyobraźnię o wielkości pni drzew, z których wycinano te belki mogło długo się nie kończyć. Przez techniczne otwory wpadało światło tworząc niezwykle cienie, zaznaczając sęki i spękania w belkach. Gdzieś w półcieniu mignęło biało-szare pióro gołębia, biało-czarne pióro sroki i całkiem czarne, połyskujące błękitno pióro gawrona. Zdobycz, wspaniała zdobycz z wyprawy na strych. W końcu nawoływania matek kończyły przygodę. Wyjście ze strychu na balkon i światło ujawniało szare od kurzu włosy, twarze, ręce i kolana. Często dzieci stały przy drzwiach na strych, a matki przynosiły miednice z wodą, ubranie na zmianę i dopiero po umyciu, przebraniu można było wejść do mieszkania. Był to nieodwracalny koniec wyprawy na strych.

A pranie – zawsze było nieskazitelnie białe, sztywne od krochmalu, bez jednej plamki czy śladu kurzu...

3. Dłonie

Ta zima była długa i ciężka. Wydawało się, że już się kończy. W marcu dziewczynka chodziła do szkoły, co bardzo ją cieszyło. Do tej samej klasy chodziły jeszcze 3 dziewczynki mieszkające na tej samej małej uliczce, więc spotykały się na rogu i dalej szły razem. Do szkoły przechodziły ścieżką wzdłuż muru oddzielającego ogród klasztoru paulinów od klasztoru augustianów. Tym skrótem można było chodzić późną jesienią i zimą, gdyż na wiosnę urządzano ogród paulinów i furtka była zamknięta. Dzień był mroźny, ale po kilku dniach ze słońcem śnieg był na tyle miękki, żeby lepić śnieżki. Dziewczynki obrzucały się śniegiem, ulepionymi kulkami. Większość dzieci miała grube, jednopalczaste rękawiczki, którymi trudno było lepić zgrabne kulki ze śniegu. Dziewczynka miała ładne, wełniane rękawiczki, pięciopalczaste. Po zabawie wszystkie rękawiczki były przemoczone i te grube i te wełniane. Schowane do kieszeni płaszcza w szatni nie miały szansy aby wyschnąć do końca czasu lekcji. Dziewczynka, mimo, że mokre, włożyła je na ręce, bo choć mróz trochę zelżał to pojawił się ostry, zimny wiatr. Zanim doszła do domu te rękawiczki były jak zlodowaciałe, fragmenty zbroi na dłoniach, które zaczynały bardzo boleć. W domu opiekunka pomogła zdjąć zamrożone, sztywne rękawiczki i ogrzać dłonie, sinoczerwone i spuchnięte. Bardzo bolały. Dziewczynka płacząc próbowała w miednicy z ciepłą wodą je rozgrzać, ale tylko zwiększała ból. Były przemrożone.

Matka wróciła pracy, obejrzała dłonie, dała dziewczynce tabletkę przeciwbólową i poleciła nadal trzymać ręce w ciepłej wodzie. Potem telefonowała do kogoś, a w końcu wyszła z domu. Była w aptece i wróciła z dużym okrągłym pudełkiem brunatnoburej maści o mocnym nieprzyjemnym zapachu. Dziewczynka była przerażona, bo z bólu i obrzęku nie mogła zgiąć palców, co oznaczało, że nie będzie mogła pisać i znowu będą problemy w szkole, zaległości. Matka pomogła jej przebrać się w piżamę i położyć w łóżku. Potem ze swojej flanelowej piżamy w piękne żółto-pomarańczowe kwiaty obciąła dolne części nogawek. Z podwójnie złożonej flaneli uszyła rodzaj rękawic jak bokserskie, z tasiemkami do zawiązywania na nadgarstkach.

Nałożyła na wciąż czerwone i spuchnięte dłonie, sporą warstwę maści i uszyte rękawice. Dziewczynka spała w tych rękawicach z dłońmi w maści przez kilka dni. Oczywiście, nie chodziła do szkoły, ale ponieważ nie była to choroba zakaźna, przychodziły do niej koleżanki. W ciągu dnia dłonie były mniej spuchnięte, ale po okładach z maści miały brązowo-brudny kolor, który nie dawał się zmyć. Nie bolały, ale zginanie palców wciąż stanowiło problem, więc dziewczynka pisała powoli, większymi niż zwykle literami. Po okładach z maści, teraz kilka razy dziennie grzała dłonie w rondelku z gorącym piaskiem. Było to bardziej skuteczne, niż moczenie w ciepłej wodzie, która szybko stygła. Ratowanie przemrożonych dłoni trwało prawie miesiąc, mimo, że nie było już bólu i dziewczynka sprawnie pisała. Pozostały jednak trwałe skutki. Przez wiele, już jako dorosła, nie mogła myć rąk w zimnej wodzie, zanurzyć ich w strumieniu czy morzu. Dłonie natychmiast puchły a gwałtowny ból wydawał się rozsadzać kości od środka... Przez wiele lat, jesienią, zimą, najcieplejszym elementem ubrania były nieproporcjonalnie grube, często futrzane rękawiczki. Maść, która uratowała przemrożone dłonie, dawno zniknęła z rynku, ale wtedy była jedynym pomysłem. Wieczorny telefon matki był do ukochanej pani doktor pediatry, Ireny zwanej potocznie Isią, która wymyśliła ten sposób. Długo, po wyleczeniu ostrego stanu, dziewczynka czuła silny, nieprzyjemny zapach maści, jakby jej skóra miała go mieć już na zawsze. Żał jej było też piżamy mamy, która była taka śliczna. A przecież poza burą, można było nic nie robić, bo to ona powinna była pomyśleć, że nie wkłada się mokrych rękawiczek, gdy wieje mroźny i silny wiatr. To była jej wina, a mama pocięła dla niej swoją zimową piżamę. W jej oczach było to wielkie poświęcenie...

4. Niedzielne kruche ciasto

Mama umiała zrobić wszystko – powoli artystycznie cerowała skarpety, szyła koszulki dla dzieci gdy były małe, wykańczała i obrębiała firanki odcinane „z metra”, umiała prasować ciężkim żelazkiem i wspaniale gotowała. Potrafiła wyczarować kolację z niczego – jedno jajko, mleko mąka i duże jabłko pozwalały na nakarmienie wszystkich domowników smacznymi plackami z jabłkami. Umiała zrobić tort makaronowy z jabłkami i suszonymi śliwkami, zapiekany ryż z jabłkami i cynamonem, czasami również dosypanymi rodzynkami, umiała zrobić zupę z jabłek, śliwek. Poza taką szybką, podręczną kuchnią, umiała upiec całego indyka, zrobić marynatę i upiec sarninę, przygotować i upiec kuropatwy, dzikie kaczki i zające. W rurze, w części kominowej kuchni (nazywała to brot-rura) rosło ciasto drożdżowe, można było upiec chleb, ciasto, kruchy placek i drobne ciasteczka. To wszystko się udawało, nie było zakalców, spalenizny mimo, że kuchnia była węglowa. Rura do pieczenia wymagała znacznych umiejętności i wielkiego wyczucia, bo nie miała żadnej możliwości oceny temperatury – łatwo było ciasto spalić, nie dopiec i podać z zakalcem... Dziewczynka patrzyła jak matka przygotowywała barszcz w szklanym słoju, jak kiszą się ogórki, jak powoli, cierpliwie mieszane powidło śliwkowe skapywało z drewnianej łyżki do słoików. Kuchnia pełna była zapachów a spiżarka chowała zapasy na zimę. W gliniakach leżały jajka przygotowywane jesienią. Najpierw były zanurzane w bladuróżowej wodzie (z nadmanganianem potasu), potem malowane ciepłym woskiem i oddzielnie każde zawinięte w kawałek gazety układane były w glinianym naczyniu. Dziewczynka lubiła obserwować jak z jednego małego fioletowego kryształka w misce tworzyła się różowa woda poprzez etap pojedynczych fioletowych smug. W każdą niedzielę matka piekła półkruche ciasto zwane plackiem. W jesieni było z owocami – śliwki, czasem krojone jabłka, w zimie z powidłem często agrestowym, mieszanym. Za zwyczaj były przygotowywane i pieczone wtedy gdy na kuchni gotował się obiad. Ciasto zagniatła na drewnianej stolnicy a potem dzieliła – większa część szła na spód blachy – rozłożona równo i ugnieciona placami, mniejsza była wałkowana na cienkie kawałki i stanowiła zamknięcie placka po nałożeniu powidła lub warstwy owoców. Dziewczynkę zawsze zdumiewało to, jak matka obliczała ile ciasta wystarczy na wierzch, jak je rozwałkować i przyciąć nożem, żeby nie zabrakło i cała warstwa powidła została przykryta. Po upieczeniu ciastko zwane plackiem było posypywane cukrem pudrem przez sitko i była to uprzywilejowana czynność dzieci, choć trudno było uzyskać taką samą warstwę równo jak robiła to mama pukając lekko w sitko z cukrem. Posypane cukrem ciasto ujawniało dziwne wzorki z drobnych dziurek. Dziewczynka oglądała dokładnie kawałki, ale nie umiała odpowiedzieć, skąd te wzorki tym bardziej, że były nieregularne. W końcu, którejś niedzieli dokładnie obejrzała jak mama robi placek i na końcu zobaczyła, że warstwę pokrywającą matka nakłuwa widelcem, żeby ciasto lepiej się upiekło, a z powidła odparowała woda i powietrze. Zrobiony w niedzielę placek wystarczał do czwartku, czasem piątku, a w niedzielę pojawiał się nowy. Dziewczynka miała swoją ocenę placków –

najbardziej lubiła te z jabłkami i cynamonem, następnie te z powidłami śliwkowymi, najmniej smakowały z kwaskowatymi powidłami agrestowymi.

Kruche placki mama robiła, tak jak wiele innych dań, bez przepisu, bez odważania. Jajka, mąka ze szklanki, cukier też ze szklanki. Zależnie od wielkości jajek czasem trzeba było dodać więcej czasem mniej mąki i zawsze „na oko”. Na pytanie skąd mama wie ile trzeba, odpowiadała – jak robisz ciasto to musi być takie, żeby nie lepilo się do rąk. Czasem matka robiła ciasto twardsze, wyrabiała je długo i odkładała w chłodne miejsce. A potem do maszynki do mięsa dokładała specjalną przystawkę z przesuwaną listewką z szablonami na różne wzory ciastek. Ciastka wygięte jak pół rurki w pieczeniu się rozprostowywały, więc częściej był wykorzystywany szablon ciastek z falami. Wykręcane z maszynki pasma ciasta matka odcinała nożem na równe kawałki, układała w rzędy na blasze, smarowała roztrzepanym jajkiem i piekła. Dziewczynka z tego samego ciasta wycinała gwiazdki, kwiatki, kółka, romby korzystając z blaszanych foremek. Pomalowane jajkiem posypywała drobno mielonymi orzechami, rafinadą cukrową. Potem tylko trzeba było czekać aż upieczone ciasteczka wystygną. Były przysmakiem z okazji świąt – Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Trzech Króli (matka nazywała to kulawą Wigilią), imienin i zapowiadanych wizyt gości. Dzieci bardzo je lubiły, ale ich przygotowania, zdobienie tłuczonymi w móżdżerzu orzechami, migdałami zajmowało całe popołudnie. Tych wypieków nie dało się zrobić „przy okazji” „w międzyczasie”, po drodze. A były takie smaczne.

5. Koncerty domowe

Matka umiała grać na pianinie. Przywiozła je jako jeden z niewielu sprzętów, które udało się wywieść pociągiem czy ciężarówką w ramach repatriacji ze Lwowa. Nie grała ze słuchu, musiała mieć nuty, ale grała dobrze dla potrzeb własnych i domowników. W czasie studiów we Lwowie, gdy musiała utrzymywać się sama dawała lekcje francuskiego i muzyki, a nuty melodii filmowych i popularnych wydawanych jako pojedyncze druki pożyczala od przyjaciółek, które mogły je kupować, i przepisowała. Przechowała ten zbiór przez czas wojny i przywiozła razem w pianinem. Dziewczynka, która też uczyła się gry na pianinie podziwiała równe szeregi nut i gdyby nie pisany ręcznie tekst, adnotacje dotyczące tempa gry pewnie miałyby wątpliwości czy to nie druk. Opieka nad dwójką dzieci, coraz bardziej absorbująca praca zawodowa i naukowa, pozostawiała niewiele czasu na grę na pianinie. Stało ono oparte o ścianę pomiędzy oknem w dużym pokoju a ścianą dzielącą od pokoju dzieci, blisko drzwi. Nie było to komfortowe położenie, bo narażało siedzącego na uderzenie skrzydłem drzwi. W rzeczywistości nigdy się to nie zdarzyło. Ojciec z domu rodzinnego miał skrzypce. Miał je również w Warszawie w czasie studiów i w czasie rozpoczęcia pracy w banku. W czasie wojny skrzypce przetrwały w wynajętym mieszkaniu we Lwowie, w którym rodzice spotkali się po raz pierwszy. Dzieci nie bardzo lubiły dźwięki skrzypiec, ale ojciec grał spokojne melodie nie wymagające wielkich umiejętności technicznych. Czasami udawało się znaleźć spokojny czas wieczorem gry rodzice grali razem – matka na pianinie, ojciec na skrzypcach. Dzieci słuchały chętnie, bo była to zupełnie inna muzyka niż to co słyszały z radia. Patrzyły uważnie jak matka czekała na odpowiednią nutę skrzypiec, żeby rozpocząć grę na pianinie albo ojciec czekał aż matka zagra odpowiedni akord. Czasami to nie wychodziło i rodzice ten sam fragment powtarzali kilka razy, żeby w końcu zagrać czysto i tak jak powinno być zagrane. Dzieci nie znały tytułów melodii, ale były to spokojne utwory. Dziewczynka pomagała w odwracaniu kartek z nutami, bo potrafiła zapamiętać, w którym momencie gry należy to zrobić. Nie pamiętała, żeby ojciec miał kiedykolwiek nuty więc grał na skrzypcach ze słuchu. Czasami pomagał sobie patrząc w nuty matki, ale było to rzadko. Gdy wspólny koncert się kończył ojciec ostrożnie składał skrzypce do futerału, a dzieci wtedy mogły oglądać instrument – smyczek, pudło rezonujące każde lekkie uderzenie, powąchać kalafonię, którą ojciec pociągał po strunach. Kiedyś, odwracając nuty dziewczynka przeczytała tytuły – okazało się, że matka grała romanse Wertyńskiego, melodie filmowe, czasami walce Straussa lub czardasz Liszta w transkrypcji na fortepian. Dziewczynka lubiła romanse – ich wolno płynące melodie odbierała jako szeroki, otwarty krajobraz. Podobnie tajemniczo brzmiały fragmenty utworu Ketelbey’a – Na perskim jarmarku, które dźwięczały jak wschodnie, dalekie instrumenty. Nie lubiła muzyki klasycznej – Bacha czy Beethovena – to była tylko muzyka i nie uruchamiała wyobraźni.

Dziewczynka powoli czytała „Cudowną podróż” Selmy Lagerlöf. Wyobrażała sobie surową, zimną Północ o krótkim intensywnym lecie. Pewnego dnia rodzice grali coś nowego. Matka kupiła nuty suitę Griega – Peer Gynt. To było wspaniałe. Pieśń Solvejgi uruchamiała podróż po lasach, jeziorach aż do horyzontu i

oceanu. W tej melodii była cała Północ z dwuczęściowej książki. Potem, grając samodzielnie, dziewczynka chętnie sięgała po Peer Gynta, po Ketelbey'a, krótkie melodia Brahmsa, Beethovena dopóki nie odkryła Chopina. Pamiętając rodzinne muzykowanie nie rozumiała dlaczego matka nigdy nie grała Chopina, przecież nie każdy jego utwór był trudny technicznie, więc pewnie potrafiłaby. Jako dorosła oceniając sylwetkę matki i jej charakter doszła do wniosku, że gra na pianinie była relaksem, odreagowaniem trudnego dnia i trudnych, pracowitych chwil regulowanych ściśle odmierzonym czasem, a do tego Chopin się nie nadawał. Wolała wybierane przez siebie utwory, które знаła, grała bez wysiłku i z przyjemnością. Czy tak było naprawdę – nie wiadomo, bo dziewczynka nigdy matki o to nie zapytała zwłaszcza, że z latami matka przestała grać. Jak mówiła – to już nie te palce, choć do końca życia miała piękne dłonie, bez zniekształceń, zmian utrudniających ruchy palców czy nadgarstków. A może przyzwyczajenie do myśli, że co robisz – rób dobrze powodowało, że skoro już nie będzie tak dobrze, to niech nie będzie wcale. A pianino z czasem przestało stroić i wymagało gruntownego przeglądu.

6. Lokatorzy tajemniczego mieszkania

Na pierwszym piętrze w mieszkaniu, do którego wchodziło się tylko od strony balkonu mieszkała rodzina z chłopcem w wieku dziewczynki. Obserwując z balkonu życie kamienicy, ruch na podwórku, wędrówki promieni słońca po ścianach, balkonach, kolorowych szybach w drzwiach prowadzących z klatki schodowej na balkon. Widziała jak nowi mieszkańcy się wprowadzali, jak kobieta o czarnych włosach sprzątała mieszkanie. Ilość kurzu i śmieci mówiło wyraźnie, że przez kilka lat nikt tam nie mieszkał. Zauważyła chłopca. Był w domu przedpołudniem gdy wszystkie dzieci były w szkole. Dlaczego nie chodził do szkoły, a może był chory tak jak dziewczynka i musiał zostać w domu. Postanowiła, przy kolejnej okazji, zejść na pierwsze piętro do chłopca. Nie była to łatwa decyzja – rodzice wielokrotnie tłumaczyli dzieciom z kim i kiedy mogą rozmawiać. Inne kontakty były zakazane. Dziewczynka nie pamiętała, żeby rodzice utrzymywali kontakty z nowymi sąsiadami albo cokolwiek o nich mówili. Trzeba było złamać zakaz żeby zaspokoić ciekawość. Starła się dyskretnie obserwować mieszkańców z pierwszego piętra. Kobiętę widziała czasami gdy wracała ze szkoły, mężczyzny długo nie udało się zobaczyć. A może chłopiec mieszka tylko z matką i nie ma ojca? Przecież wojna zostawiała za sobą zgłiszcza w tym również rodzin. Pewnego wieczoru zupełnie przypadkowo zobaczyła mężczyznę, który wchodził do mieszkania chłopca. Był w czarnym płaszczu i kapeluszu zasłaniającym znaczną część twarzy. Szedł szybko, cicho jakby się skradał. Widziała go potem jeszcze kilka razy, ale zawsze było tak samo – jak cień, bezszelestnie wchodził po schodach i znikał we wnętrzu mieszkania. Nawet latem nosił czarny kapelusz. Jej ojciec też nosił kapelusze, ale były popielate, brązowe, a jeden jedyny czarny był tylko do specjalnych sytuacji. Ten mężczyzna nosił czarny kapelusz codziennie. Wszystko to było coraz bardziej tajemnicze. Kolejne miesiące dziewczynka spędziła w szpitalu, potem w domu, ale bez wychodzenia na balkon więc prawie zapomniała o mieszkańcach pierwszego piętra. Pewnego popołudnia do drzwi kuchennych zapukała kobieta. Przepraszała za to, że przeszkadza, ale chciałaby oddać jajka, nie może ich użyć, ale wie, że tu mieszka dwoje dzieci więc pewnie się przydadzą. Pokazała matce dziewczynki dwa rozbite jajka w głębokim talerzu. Matka dziewczynki wyjęła ze spiżarki dwa jajka w skorupce, podała kobiecie i powiedziała – myślę, że będą dobre. Dziewczynka nic z tej sceny nie rozumiała. Dlaczego tamte rozbite na talerzu jajka były złe, a te, które dała matka miały być dobre. Skąd jej matka wiedziała o co chodzi i wymieniła jajka. W konsekwencji tej sytuacji na kolację dla niej i brata było po jednym sadzonym jajku. Bała się zapytać obcą kobietę, zwłaszcza, że ta po otrzymaniu jajek, szybko odeszła jakby się czegoś obawiała, jakby była niepewna. Wczesną wiosną siedząc na balkonie zobaczyła z góry głowę chłopca – to była okazja nie do przepuszczenia. Podobnie jak ona był sam i obserwował podwórko. Podjęła decyzję – rodzice w pracy, brat w przedszkolu, które z wielkim trudem udało się matce załatwić dla niego – więc miała czas. Miała nadzieję, że złamanie zakazu ujdzie jej na sucho, bo nikt nie będzie o tym wiedział. Weszła na balkon. Na jej widok chłopiec cofnął się do drzwi kuchni. On też musiał się zastanowić czy rozmowa z dziewczynką nie będzie miała złych skutków. Przypomniawszy sobie, że jego matka była w mieszkaniu dziewczynki i nic złego nie mówiła. Wydawało się, że nie boi się tych lokatorów.

– Mam na imię Adam – zaczął rozmowę.

– Dlaczego nie jesteś w szkole – zapytała. Chłopiec nie odpowiedział. Po chwili oddał pytanie.

– A ty dlaczego jesteś w domu.

– Chorowałam ale zdrowieję więc za kilka dni pewnie wrócę do szkoły.

Weszli do kuchni. Deski podłogi były prawie białe, tam mocno były wyszorowane. Przez środek biegł chodnik długi aż do okna w głębi ciemnego, wąskiego pokoju. Obydwa okna wychodziły na północ, a na dodatek wysoka topola zabierała resztę światła gęstymi ulistnionymi gałęziami. W kuchni stał stół drewniany, bez obrusa mocno pachnący drzewem. W kredensie kilka talerzy, kubków, szklanek, na kuchni garnki. Było to jednak znacznie uboższe gospodarstwo niż to co było u dziewczynki. Wszystko było czyste, lśniąca, na ścianach nie było żadnych obrazów, ozdób, poza haftowaną makatką z nieznanymi dziewczynce znakami. Chłopiec pozwolił jej rozejrzeć się po kuchni, ale nie zapraszał do pokoju. Pokazał jej książkę pełną znaków i obrazków przedstawiających potrawy. To książka kucharska, to specjalne dania robione na różne okazje, takie jak kolacja w szabat, święta hanuka, purim, iom kipur i pesach. Opowiem ci o nich jak będziesz chciała.

– Jak naprawdę masz na imię – zapytała. Wszystko było tak inne, że chłopiec nie mógł mieć na imię Adam. Musiał mieć inne imię, pasujące do książki pełnej znaków, otwieranej od końca i tej czystej pustej kuchni. Zaczynała ją ogarniać poczucie niepokoju. Ciemny pokój przerażał.

– Mówiłem ci – Adam. Widząc nadal pytający wzrok dziewczynki dodał – w nasze święta to rodzice mówią Icek, to od Izaak.

– To ty nie masz naszych świąt – choinki, prezentów w Boże Narodzenie, nie masz Wielkanocy i pisanek, nic nie dostajesz – zapytała zdziwiona.

– Tak trochę to mam choinkę, a nasze święta są inne. Też są prezenty w święto *purim*, w *iom kippur* – to taki nasz nowy rok. Nie chodzę do szkoły, bo ojciec boi się o mnie, nauczyciel przychodzi w poniedziałek, środę i czwartek i uczy mnie po polsku, a codziennie wieczorem ojciec czyta święta księgę i uczy mnie po hebrajsku. Nie wiem dlaczego tak jest, ale gdy nie mam lekcji jestem sam. Nie wolno mi wychodzić z domu. Nie chciał już powiedzieć, że nie wolno mu było z nikim rozmawiać. Dziewczynka nie rozumiała sytuacji chłopca, ale było jej żal jego samotności i obcości.

– Muszę już wracać, ale jutro jeszcze nie idę do szkoły to może porozmawiamy. Opowiesz mi o twoich świątach. Ale gdyby mi się nie udało – trzeba znaleźć sposób komunikacji. Szli wzdłuż balkonu w stronę drzwi na klatkę schodową. Dziewczynka zobaczyła szczelinę w ścianie schowaną pod niewielkim parapetem.

– Jak będę w domu – włożę tu kartkę, jak pójde do szkoły – skrytka będzie pusta. Chłopiec się zgodził. To pozwalało na bezpieczne spotkanie. Sposób komunikacji działał dobrze więc kilka razy udało się spotkać bezpiecznie, bez wiedzy dorosłych. Chłopiec pokazał jej oszkloną szafkę w kącie pokoju, gdzie stał kłęcznik. Na półkach leżały różne, często srebrne przedmioty – małe kieliszki do kolacji w szabat, *besaminki* na zioła, zdobione wskazujące palce zwane *jad* do czytania księgi i wiele innych. A potem znowu była przerwa, bo dziewczynka chorowała. Dopiero w dwa miesiące później dziewczynka mogła wreszcie wychodzić z mieszkania. Zbiegła na pierwsze piętro, ale w szczelinie tkwiła jej kartka sprzed dwóch miesięcy. Podeszła do drzwi mieszkania Adama – były zamknięte, a przez szyby widać było zwinięty chodnik, meble, puste ściany bez makatki i półki kredensu bez grubej książki kucharskiej. Było oczywiste, że chłopca i jego rodziny już nie ma. Zdecydowała się zapytać matkę o ich los, tym bardziej, że z jej klasy zniknęły dwie koleżanki o obcych, niemiecko brzmiących nazwiskach. Matka wyjaśniła, że niedawno powstało państwo Izrael i przyjmuje emigrantów z całego świata, zwłaszcza z Europy. Ci, którzy chcieli, przeżyli wojnę mogli wyjechać do nowej ojczyzny. Pewnie im tam lepiej, a chłopiec nie będzie się czuł obcy i samotny. Było jej przykro, że nie zostawił adresu, pożegnania.

– A gdzie jest ten Izrael – zapytała.

Matka pokazała na mapie rejon koło niebiesko namalowanego morza, które nazywało się Morze Martwe. Dziewczynka wiedziała, że jest to daleko, że podróż będzie długa i męcząca. Była ciekawa, czy poza niezbędnymi rzeczami ojciec chłopca zabrał tajemnicze srebrne przedmioty z oszklonej szafki i księgę zawiniętą w „sukienkę” związaną sznurkami na końcach. Zniknęli. Nigdy więcej nie słyszała o Icku-Adamie i swoich koleżankach. W tych czasach (rok 1956) utrzymywanie kontaktów z krajami Europy zachodniej, a potem również Izraelem, było niebezpieczne i ryzykowne. Był to inny świat.

Wyróżnienie

Marzena Nogiec – godło MagNal2

Portret (obrazek z wizyty domowej)

W powietrzu unosił się już jesienny chłód. Przesiąknięta nim na wskroś (i pewnym zmęczeniem także – nie była to pierwsza wizyta domowa tego dnia, ani nawet druga czy trzecia...) wspierałam się mozolnie po stromych schodach starej, przedwojennej kamienicy na ostatnie jej piętro.

Drzwi mieszkania mojej kolejnej Pacjentki, którą za chwilę miałam poznać, otworzyła opiekunka i wkrótce znalazłam się w pełnym śladów przeszłości pokoju – począwszy od rodzaju umeblovania aż po pyszniące się często skórzanymi oprawami, wsparte na półkach, stare wydania mniej lub bardziej znanych książek.

Pani Jadzia odpoczywała na tapczanie pod ścianą i zdawała się nie zauważać mojego wejścia i „dzień dobry”. Mój wzrok powędrował więc w tę stronę, w którą były skierowane Jej oczy. Wpatrywała się w portret zajmujący centralne miejsce po stronie przeciwległej. Nie było to arcydzieło mistrza, ale skutecznie zawładnęło bielą tej ściany i przykuwało uwagę poprzez Osobę modelki i widoczną Jej urodę, której w żaden sposób nie mogło umniejszyć, mimo widocznych w niektórych miejscach trochę niezdatnych (a może po prostu niedbałych?) pociągnięć pędzla. Była Nią młoda dziewczyna o roześmianych i roziskrzonych tym uśmiechem oczach, z burzą kasztanowych włosów, skręconych w tzw. hollywoodzkie fale (zgodnie z panującą we wczesnych latach pięćdziesiątych modłą). Twórca portretu nie omieszkiał też pokazać Jej pięknych, gładkich (nienoszących nawet śladu wstępnej pajęczynki zmarszczek) dłoni oraz części (pod tym względem portret miał charakter popiersia) skromnej, ale jednocześnie podkreślającej Jej dopiero co rozkwitłą kobiecość, letniej sukienki.

Szybko dostrzegłam Tę Dziewczynę w mojej Pacjentce – chociaż bujne loki zamieniły się w przerzedzone siwe włosy, błękitną, letnią sukienkę zastąpiła szara, prawie bezkształtna koszula nocna, a zniszczone, pełne bruzd i kolein dłonie stały się mapą i kroniką Jej pracowitego życia. Tylko w oczach widać było jeszcze trochę dawnego blasku...

Uścisnęłam Jej dłoń, cicho powiedziałam „rozumiem” i wtedy po raz pierwszy na mnie spojrzała... I uśmiechnęła się...

Epilog: wychodząc z tego domu nie czułam już jesiennego chłodu ani na przykład zmęczenia, a uśmiech Pani Jadzi miał mi dodać sił jeszcze nie raz (i dodaje do dzisiaj).

Jednocześnie mam nadzieję, że na tym ta historia nie kończy się – zwłaszcza w tych chwilach gdy mam wrażenie, że Jej oczy mają znów trochę więcej blasku (zdarza się, że pojawiają się w nich nawet jakby figlarne ogniki). I chociaż może w inny niż kiedyś sposób – ale znów czuje się piękną. I przede wszystkim jest nią... – także np. prosząc Swoją opiekunkę aby dała mi parasol – gdy od Niej wychodzę a akurat za oknem pojawia się deszcz... Czasem naprawdę niewiele trzeba...

ISBN 978-83-942437-5-3

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Warszawa, 2017

